

Per aspera ad astra

Wspominamy nauczycieli akademickich Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach

Uniwersytet Śląski – moja uczelnia. Powstała w 1968 roku, więc zbliża się 50–lecie istnienia śląskiej *Alma Mater*. To dobry pretekst do powspominania ulubionych, często oryginalnych, emanujących ciepłem, erudycją, błyskotliwie dowcipnych, sympatycznych nauczycieli i wykładowców. To oni byli drogowskazami na bezdrożach i często poplątanych ścieżkach naszego studenckiego życia w tych jakże siermiężnych czasach, to im zawdzięczamy nie tylko wykształcenie, ale też otwartość na nowe idee i zwykłą ciekawość świata.

Studiowałam w latach 1976–1980, ukończyłam polonistykę i choć nigdy nie planowałam uczyć w szkole, to ironia losu właśnie tam skierowała moje kroki.

Przeglądałam mocno już pożółkłe strony mojego indeksu, czytam nazwiska wykładowców, asystentów i lektorów. Niektórzy umknęli mej pamięci, ale ci ulubieni, nieraz ekscentryczni, z pewnością oryginalni, prowadzący zajęcia z niebywałą pasją, potrafiący zaciekawić najbardziej leniwego i opornego na wiedzę studenta – o, tak! Tych pamiętam doskonale! Oczywiście, wspominam też tych mniej sympatycznych, często złośliwych, którzy uważali, że z sarkazmem im do twarzy, a mizoginistyczne komentarze dodają im uroku i tajemniczego wdzięku, jakby uparcie nie chcieli uwierzyć, że zwykła uprzejmość okazana studentom wcale ich nie zabije. Niektóre nazwiska –niestety – już mi nic nie mówią i to chyba niezbyt dobrze o mnie świadczy. *Mea culpa!*

Moim ulubionym, wręcz charyzmatycznym wykładowcą był nieżyjący już dziekan polonistyki – profesor Ireneusz Opacki, absolwent KUL–u, cudowny człowiek, dobry, życzliwy studentom, uroczo dowcipny, zawsze uśmiechnięty. Po raz pierwszy miałam zaszczyt spotkać Go podczas egzaminów wstępnych. Byłam koszmarnie zestresowana i przerażona, głos często mi się załamywał, ale ile razy spojrzałam na Profesora, widziałam na Jego twarzy uśmiech, niebywałą życzliwość i oczy, które zdawały się mówić: „Odwagi, dziewczyno, odwagi”, choć parokrotnie podana mi szklanka z zimną wodą peszyła mnie ogromnie. Jak się później dowiedziałam, ponoć ruszałam ustami, nie wydając głosu. Jego wykłady z romantyzmu a następnie z teorii literatury przeszły do legendy, po prostu nie wypadało nie przychodzić na nie. Profesor nie wykladał suchej wiedzy, On jakby gawędził, opowiadał o „naszych wielkich” jak o zwykłych ludziach, nie umniejszając ich geniuszowi, bawił anegdotami z życia klasyków, rzucał swobodnie cytatami. Cudownie było słuchać naszego Profesora i zawsze czekaliśmy na następny wykład, wiedząc, że i tym razem uraczy nas intelektualną ucztą. Przyznam też, iż w tamtych latach oboje mieszkaliśmy w tym samym mieście – w Gliwicach – i nieraz spotykałam Pana profesora na głównych ulicach górnośląskiej metropolii. Dzięki takim nauczycielom jak profesor Opacki zrozumiałam, że przez swoje dorosłe życie muszę iść z podniesionym czołem, w pozycji wyprostowanej, nigdy na kolanach, za co przyznam, nieraz płaciłam gorzkimi łzami.

Kolejna wielka postać, którą darzę ciepłym uczuciem – Pan profesor Jan Zaremba, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, uczeń prof. Ignacego Chrzanowskiego. Starszy pan, pełen uroku osobistego, z białymi włosami i wąsami. Był promotorem mojej pracy magisterskiej. Już wtedy ciężko chorował, a przecież poświęcał nam wiele swego cennego czasu, wskazywał właściwy kierunek rozważań, podpowiadał i dawał mądre rady ułatwiające pisanie pracy. Był jedynym znanym mi

promotorem, który zapraszał magistrantów do swojego katowickiego mieszkania, gdy zabrakło czasu na uczelni, by omawiać kolejne rozdziały – niestety, nieraz krytykowane i odrzucone – mojej pracy magisterskiej. Żałowałam bardzo, gdy w dwa lata po jej obronie Pan profesor na zawsze opuścił swoich studentów. Był legendą katowickiego środowiska akademickiego i ulubionym profesorem swoich studentów, człowiekiem wielkiego serca i umysłu.

Wykłady z gramatyki historycznej języka polskiego prowadziła Pani profesor Irena Bajerowa. Już sam fakt, że była córką twórcy polskiego językoznawstwa, słynnego profesora Zenona Klemensiewicza, zmuszał nas do padania na kolana przed tak znamienitą Osobą. Jej wykłady były rzeczowe, konkretne, a zdanie końcowego egzaminu uchodziło za wyższą szkołę jazdy. Krążyły pogłoski, że jeżeli zda się na II roku studiów egzamin u prof. Bajerowej, to magisterkę ma się już w kieszeni. Przyznam się ze skruchą i wielkim zażenowaniem, że bardzo bałam się chwili, w której Pani profesor sprawdzi stan mojej wiedzy z gramatyki historycznej i gdy nadszedł ten „armagedon”, z niejaką ulgą przeczytałam informację, że jestem na liście studentów, których egzaminować będzie doc. Aleksander Wilkoń, później profesor Uniwersytetu Śląskiego.

Oryginałem i niezwykle ciekawą postacią na mojej uczelni był profesor Zbigniew Jerzy Nowak, mistrz wielu pokoleń humanistów, współtwórca polonistyki na Śląsku. Pierwsze, co rzucało się w oczy, to Jego długie, białe włosy, co upodobiało Profesora do XIX-wiecznego poety lub ekscentrycznego artysty malarza. Doskonale pamiętał swoich studentów i przy spotkaniu z nimi już z daleka nisko i zamasyście się kłaniał, co wprawiało mnie, zaledwie dwudziestolatkę, w nieklamane poruszenie i zażenowanie. Na zawsze zapamiętam Profesora, który, parafrazując wieszczą Adama: „Idąc, kłaniał się damom, starcom i młodzieży”. Jego wykłady z literatury staropolskiej były ekspresywne i pełne emocji, nie raz wychodziliśmy z nich nie tylko zauroczeni, ale też wzruszeni i przepelnieni podziwem dla wiedzy i erudycji Pana profesora. I znów smutna data – 1993 rok, kiedy to Pan profesor opuścił nas na zawsze.

Na I roku studiów zajęcia w grupach z literatury staropolskiej prowadziła dr Marianna Czubalina. Już na samym początku wzbudziła nasze zainteresowanie rzadziej stosowaną końcówką swojego nazwiska – „-ina”, zazwyczaj mężatki rozpoznawaliśmy po zakończeniu na „-owa”. Pani doktor była pełną pasji osobą i niebywale skromną. Pamiętam, gdy koleżanka z naszej grupy nagminnie tytułowała Ją „pani magister”, lecz dr M. Czubalina nawet okiem nie mrugnęła i ani razu nie zwróciła uwagi studentce na pomniejszanie Jej tytułu naukowego. Wymagała od nas dużo, ale i sama wiele z siebie dawała, a Jej zajęcia poświęcone literaturze staropolskiej można uznać za wzór profesjonalizmu i sumiennosci pedagogicznej. Z nieklamany bólem dowiedziałam się, że Pani dr M. Czubalina przedwcześnie odeszła od nas w 1995 roku. A mogła przecież jeszcze edukować wiele kolejnych roczników studentów. Widocznie i Pan Bóg chciał mieć przy sobie dobrego pedagoga.

Trzykrotnie miałam szczęście pozytywnie zdać egzaminy z trzech różnych przedmiotów, począwszy od pierwszego roku studiów, a skończywszy na trzecim, u profesora Aleksandra Wilkonja, wtedy był docentem. Zawsze uśmiechnięty, życzliwy studentom. Podczas egzaminów cierpliwie naprowadzał nas, nieboraków, na właściwą odpowiedź. Nawet, gdy pletliśmy wierutne bzdury, na Jego twarzy nie dostrzegaliśmy wyrazu politowania i zniecierpliwienia, co było niezwykle cenne i pożądane dla przerażonych żaczków, którzy w tak ekstremalnych dla nich sytuacjach nierzadko wykazywali znaczny niedobór intelektualny. Profesor Aleksander Wilkoń prosił jedynie, aby nie spieszyć się i przemyśleć odpowiedź. Można rzec, miał wręcz niewyczerpany limit miłosierdzia. Na I roku pozytywnie zdałam u

Pana profesora gramatykę opisową, na II roku – zamiast u prof. Ireny Bajerowej – gramatykę historyczną, ową „gilotynę” też pomyślnie zaliczyłam u Profesora, który od tej pory funkcjonował w mej świadomości jako szczęśliwy dla mnie egzaminator. Mówi się, że „uczeń bez dwóji, to jak żołnierz bez karabinu”. I mnie przytrafiła się bolesna możliwość potwierdzenia tej maksyminy na III roku studiów podczas egzaminu z językoznawstwa u umiarkowanie lubianego przeze mnie profesora. Początkowo szło mi śpiewająco, aż do momentu, kiedy padło dodatkowe pytanie (mające ponoć zawyżyć moją ocenę) o kategorię liczb w języku suahili. Cóż, wtedy wiedziałam jedynie, że jest to język plemienia Bantu z Afryki Środkowej, więc – ku mojemu zaskoczeniu i chyba oburzeniu – padł termin wrześnieowej poprawki. Przez wakacje pogłębiałam wiedzę na temat tego, jakże dla mnie egzotycznego języka, uczestnicząc w wielu dyskotekach, na których wiedziałam, że będą ciemnoskórzy studenci medycyny posługujący się suahili. Młodszym kolegom pragnę przypomnieć, że nie było wtedy dostępu do komputerów, Internetu i innych mediów, z których można było czerpać dodatkową wiedzę. Gdy nadszedł wrześnieowy termin egzaminu, okazało się – ku mojemu szczęściu – że poprawkę zdawać będę nie u profesora, który zafundował mi tyle emocji, lecz u prof. Aleksandra Wilkonia. Kochany wykładowca rozpoznał mnie i sam wyraził zdziwienie, że na pierwszym terminie mogło paść takie, w samej rzeczy dość zaskakujące, pytanie. Oczywiście, poprawkę zdałam bez problemu. Dziękuję, Panie Profesorze! Cieszę się, że miałam zaszczyt być Pańską studentką.

Powszechnie wiadomo, że dary Boże nie są równo rozdzielone. Byłam kompletnym antytalentem w kwestii nauki języka angielskiego i konia z rzędem temu, kto mi sensownie wytłumaczy, jakie było podłoże wspomnianego uwiąznięcia intelektualnego na lektoracie z języka angielskiego i dlaczego akurat mnie ta obezwładniająca *my mind* przypadłość dorwała i gnębiła przez ponad dwa lata studenckiego życia. Wszak pozostałe języki (staro-cerkiewno-słowiański, rosyjski czy łacinę) zaliczałam śpiewająco. Nie wiadomo mi też, dlaczego trafiłam do grupy dla zaawansowanych prowadzonej przez mgr. Bernarda Tomczyka – gdyż ocena na świadectwie maturalnym z tego przedmiotu nie była wyróżniająca. Pierwszego dnia zajęć pojawił się młody, przystojny lektor, od którego powiało Zachodem w tych naszych dość siermiężnych czasach. Ku mojemu zaskoczeniu, Pan magister bez zbędnych słów rozdał każdemu z nas tekst pt. „The Arab adventures”, kazał przeczytać i rozpoczął konwersację – oczywiście! – po angielsku. Ja – po pobieżnym zaznajomieniu się z tekstem – z przerażeniem skonstatowałam, że jedynym słowem, które rozumiem, jest tytułowy Arab. Przez dwie godziny siedziałam jak na przysłowiowym „tureckim kazaniu”, nie rozumiejąc ani słowa i kuląc się ze strachu, aby uniknąć pytania ze strony lektora, co –niestety– co jakiś czas miało miejsce. Podobne sytuacje przytrafiały mi się przez następne tygodnie, podczas których z całkowitą bezsilnością obnażałam swoją ignorancję i niewiedzę, wywołując lekki grymas niezadowolenia, czasami może rozbawienia, na twarzy prowadzącego. Mój umysł lewitował, a szare komórki żadną miarą nie potrafiły znaleźć drogi powrotnej. Aż wreszcie zdobyłam się na odwagę i poprosiłam mgr. B. Tomczyka o zgodę na przejście do grupy dla niezaawansowanych, prowadzoną przez mgr. M. Knap. Ku mojemu zaskoczeniu odpowiedź była krótka i stanowcza – nie! I znowu podczas kolejnych zajęć padało zawsze to samo pytanie: „*Miss Martenka, do you sleep?*” Spać, to ja nie spałam, tyle że zupełnie nie rozumiałam skierowanego do mnie pytania i zanim jakaś litościwa dusza napisała mi na karteczkę, co mam odpowiedzieć, padało wspomniane już sakramentalne pytanie. Cóż, każda cierpliwość ma swoją datę ważności. Gdy całkowicie pognębiona i załamana ponownie poprosiłam o wyrażenie zgody na opuszczenie grupy i ponownie otrzymałam negatywną odpowiedź, obraziłam się nie na żarty i z beztrząsą właściwą nastolatkom przestałam chodzić na zajęcia. Tylko cud sprawił, że nie wyleciałam ze studiów i to już na samym początku. Gdy w końcu udało mi się

przejsć do wymodlonej grupy dla niezaawansowanych – dzięki, nazwijmy to enigmatycznie, Boskiej pomocy – okazało się, że szczęście nie jest wieczne, a mój błogostan trwał nad wyraz krótko, jako że po pierwszym semestrze grupę przejął nie kto inny jak Pan magister Tomczyk. I tak rozpoczęła się moja droga przez mękę. Boże drogi, nigdy niczego tak dużo i zawzięcie, pracowicie do późna w nocy nie uczyłam się, jak języka mieszkańców Albionu. W domu wszystko umiałam i rozumiałam, na zajęciach ogarniała mnie amnezja i – cytując klasyka – „pomrocność jasna”. Lektorat był dla mnie prawdziwym Rubikonem, którego w żaden sposób przekroczyć nie potrafiłam. Na widok Pana magistra moje skołatane serce bezgłośnie szeptało : *Ave, Ceasar, morituri te salutant!* Przez cztery następne semestry z różnym skutkiem próbowałam być niewidoczna i przeźroczysta, aby nie musieć konwersować w tak niedostępnym dla mnie i kompromitującym języku obcym, chcąc uniknąć uczucia wstydu i zażenowania. Moje wypowiedzi przypominały grę „trafiony-zatopiony”, ze wskazaniem na „zatopiony”. Może w końcu Lektor pogodził się z faktem, że moje kalectwo językowe jest trwałe i niezmienne, a może kierował się zwykłym uczuciem litości, w każdym bądź razie – przyznając szczerze i ze skrucą – zawsze otrzymywałam od Niego zaliczenie umiarkowanie bezproblemowo i gdy przyszedł sądny dzień egzaminu, dostałam – prawdopodobnie niezasłużenie – upragnioną, cóż z tego, że najniższą z możliwych, ocenę pozytywną. Nie wiem, jak potoczyły się dalsze losy Pana magistra, czy po ciemnej nocy 1981 roku pozostał w kraju, czy opuścił jego granice. Gdziekolwiek Pan jest, życzę Panu zdrowia i by z równą sympatią wspominał swoich byłych studentów. *Good luck, Sir, good luck!*

Na drugim roku studiów wykłady z filozofii starożytnej i marksistowskiej prowadził dr Wojciech Kaute, obecnie profesor i autor wielu książek i dysertacji naukowych. Wyglądał oryginalnie – miał dość długie, lekko kręcone włosy, był zazwyczaj na czarno ubrany. Z przyjemnością słuchaliśmy Jego wykładów, tym bardziej, że czasami wydawało nam się, iż przemyca, posiłkując się lekkim dowcipem lub sarkazmem, niedozwolone treści, co u schyłku lat 70. niewątpliwie było aktem odwagi. Ironia, zawołowana drwina, aluzja zdawały się nam, żaczkom, najlepszym sposobem na przekazywanie ukrytych sensów, a może też sami się ich doszukiwaliśmy... Ze wstydem przyznaję, że – programowo lekceważąc tematykę marksistowską tak odrzucaną przez większość studentów tamtych czasów – nie uczestniczyłam regularnie w wykładach w następnym semestrze, podczas których dr Wojciech Kaute dzielił się z nami zawilościami na temat Marksa, Engelsa i Lenina. Na egzaminie końcowym z tego przedmiotu miałam dużo szczęścia, choć oczyma duszy wyobraźni widziałam nad drzwiami sali napis, niczym z tragedii Dantego, umieszczony nad wrotami piekieł : „Porzućcie wszelką nadzieję wy, którzy wchodzicie”. Pytana o Immanuela Kanta przypominałam sobie jedynie, iż to on jest autorem słów: „Niebo gwiaździste nade mną, prawo moralne we mnie”. Nie sądzę, aby ta odpowiedź zadowoliła Pana doktora, może bawiło Go to, że gadałam jak najęta – niekoniecznie na temat – aby tylko mówić, mówić i mówić, a tym samym nie narazić się na kolejne pytanie, które skutecznie kazałoby mi paść na polu chwaty. Pamiętam też krótki epizod podczas tego egzaminu (wchodziliśmy piątkami), gdy nasz grupowy poeta, Jasiu, chcąc może zapunktować u dr. Kautego, zamiast od razu odpowiadać na zadane pytanie, rozpoczął swoją tyradę słowami: „Zanim przejdę do omawiania problemu, chciałbym podkreślić, że w moim domu panuje atmosfera marksizmu i leninizmu”. Ja – z wrażenia – zapomniałam, że mam skupić się na przygotowaniu własnej odpowiedzi i słuchałam, jak egzaminujący od razu ripostuje: „To pańska prywatna sprawa. Proszę przejść do zadanego pytania”. Zlekceważyć w tamtych czasach „atmosferę marksizmu i leninizmu” panującą w domu studenta?! – do tego też trzeba było mieć klasę i – jak sądzę – odwagę, będąc pracownikiem uczelni, która – nomen omen – mieściła się przy ulicy Bolesława Bieruta. Dodam jeszcze, że i na samym egzaminie można było

wzbogacić swoją wiedzę, gdy dr Wojciech Kaute, zanim z uśmiechem zaproponował nieszczęsnemu delikwentowi następny termin, udzielał prawidłowej odpowiedzi. To wtedy dowiedziałam się, za co i kiedy Paul Sartre dostał Nagrodę Nobla, co to jest sensualizm i gnoseologia. Dziękuję, Panie profesorze, za dobry z plusem!!! Wprawdzie z marksistowskiej byłam ignorantką, ale filozofię starożytną obkułam celująco! Życzę lepszych studentów, którzy nie będą przekazywanej przez Pana wiedzy traktowali tak wybiórczo i beztrusko.

Na koniec pragnęłabym nisko pokłonić się i gorąco podziękować swojej polonistce z gliwickiego liceum, Pani profesor Aldonie Furgalskiej-Skudrzyk, która doprowadziła mnie do matury, by następnie rozpocząć karierę naukową na Uniwersytecie Śląskim. To Pani profesor dwukrotnie wyciągnęła do mnie pomocną dłoń, ratując zahukaną dziewczynę jeszcze na samym początku jej uniwersyteckiej edukacji przed wyrzuceniem ze studiów, gdy zdesperowana nie widziała już żadnej drogi ratunku. Z serca dziękuję za okazaną dobroć i zainteresowanie, żałuję również, że nie miałam przyjemności być Pani studentką.

Cóż, mogłabym tak wspominać i wspominać. Myślę jednak, że warto zostawić miejsce na wspomnienia innych studentów, nie tylko z mojego rocznika, ale też z innych lat. Może ich *memory* będą się pokrywały z moimi, może będą diametralnie różne. Czas pokaże. Zachęcam do snucia wspomnień, dzielenia się nimi na forum tej strony. Wasze historie niech będą inspiracją dla kolejnych pokoleń studentów naszej Uczelni.

Lilianna Jakubas (Martenka)

Jeżeli uraziłam swoją szczerością wspomnianych nauczycieli akademickich, to z głębi serca przepraszam – nie to było moim zamiarem – i proszę pokornie o wybaczenie, bo „Bóg mi już wybaczył, wszak jest to jego fachem”.